

**„Może to moja wolna natura tak ucieka od etykiet” -**

**rozmowa z Waławem Holewińskim**

**o złu, literaturze i historii**

**Żaneta Nalewajk:** W omówieniu *Znieczulonych*, które ukazało się w ubiegłym roku w dziewiątym numerze „Dialogu” ks. Andrzej Luter pisał, że wszystkie postaci tej sztuki „w mniejszym lub większym stopniu zostały opętane przez szatana”. We wspomnianej recenzji wpisane są założenia, zgodnie z którymi człowiek (podobnie zresztą jak rzeczywistość) jest z natury dobry, może jednak zostać „dotknięty złem”. Pozostaje ono zatem transcendentne, przychodzi z zewnątrz po to, by zostawić swój niszczący osad w ludzkim wnętrzu. Na pierwszy rzut oka takie ujęcie wydało mi się sprzeczne, z tym, co Pan powiedział w opublikowanej na łamach tegoż „Dialogu” rozmowie z Dorotą Jovanką Ćirlić. Opowiadając o dramacie *Znieczuleni* stwierdził Pan: „Temat wymusił formę. Przydało się moje doświadczenie prokuratorskie – te dwa i pół roku, kiedy dane mi było obserwować marność ludzką, straszliwą głupotę, zezwierzęcenie sięgające dna i jednocześnie strach prokuratorów, którzy mieli to zło osądzać. Próbowałem więc opisać tę wylęgarnię, nie do końca uświadomionego zła, której obraz naszą inteligentną wyobraźnię najzwyczajniej przerasta”. Co to znaczy „nie do końca uświadomione zło”? Po lekturze Pana dramatu wydawało mi się, że można by przypisać mu m.in. miano „dziedzicznej patologii”. Formułę tę należałoby jednak opatrzyć zastrzeżeniem, zgodnie z którym okrucieństwo tkwi głęboko w człowieku, jest immanentne i potrzebuje tylko sprzyjających warunków, aby się wyzwolić. Czy zgodzi się Pan z takim stwierdzeniem? I jeszcze jedno pytanie, na które, w dramacie nie pada bezpośrednia odpowiedź, pomimo tego, że kreśli Pan, choćby przy pomocy chwytu powtórzenia, znakomite portrety psychologiczne bohaterów. *Unde malum?* Skąd zło?

**Wacław Holewiński:** Przede wszystkim, nie jestem zwolennikiem nadmiernej wiedzy na temat tworzenia, nadmiernego tłumaczenia i rozgryzania każdego zdania (a to pewnie przypadłość polonistyczna). Mam wrażenie, nie pewność, właśnie wrażenie, że między opiniami księdza Lutra, a moją odpowiedzią na pytanie Doroty Ćirlić nie ma żadnej opozycji. To, że zło przychodzi z zewnątrz jest oczywiste i nie wymaga żadnych uzasadnień – wzorce kulturowe, kult siły, brak oparcia w rodzinie. A „nie do końca uświadomione zło”, to, co niepoznane, jakaś tajemna częśćka w nas samych, która pędzi nas, nie chcę być specjalnie górnolotny, ale tak chyba jest, niezależnie od okoliczności i osobowości, w złą stronę. Oczywiście, człowiek z reguły ma pewne hamulce, które pozwalają mu nie przekraczać cienkiej granicy oddzielającej pozornie normalne życie od zbrodni, ale problem tkwi w umiejscowieniu tej granicy. Zresztą, jest ona oczywiście płynna i ulega przesunięciu coraz bardziej w stronę bezkompromisowego zła. Kierkegaard mówi, że „egzystencja jednostki to jej więź z transcendencją; więź ta nie ma charakteru trwałego aktu i nie realizuje się w wygodnym poznaniu, lecz w działaniu, w pozbawionej jakichkolwiek obiektywnych norm całkowitej wolności, w której człowiek nie ma możliwości zweryfikowania słuszności swego wyboru”. Całkowitej wolności... A „dziedziczna patologia” to termin ukuty przez socjologów prawa i kompletnie nieprzystający do mojego myślenia. Zresztą, w *Znieczulonych*, łagodna i naiwna pani psycholog, jest tego prostym zaprzeczeniem. Natomiast jeżeli chodzi o okrucieństwo, które tkwi w człowieku – ono wbrew Pani tezie – wcale nie wymaga sprzyjających warunków, aby wypłynąć na powierzchnię. W normalnym świecie, jeśli za normę uznamy to, co nas otacza, bezinteresowne okrucieństwo poraża. Skąd zło? Mam swoją teorię na ten temat. Odnoszę wrażenie, że obok seksu, jest to w dziejach ludzkości najsilniejszy z bodźców, motywator zmian, rewolucji, ale i wynalazków. Zło bierze się z poczucia niespełnienia, z upokorzeń, z pomniejszania wartości człowieka, z rozchwierutania emocji, a czasami po prostu z choroby.

I jeszcze jedna uwaga ogólna. *Znieczuleni*, jak Pani pewnie zauważyła, nie są sztuką zbudowaną na zaskoczeniu. W gruncie rzeczy od początku do końca wiadomo o co tam chodzi. Są prostym zapisem. Bo sztuka, w moim odczuciu, nie polega na zaskoczeniu. Oczywiście, czytelnik tego dramatu jest zapewne od pierwszej chwili dołowany – głupotą, językiem, poczuciem bezkarności trojga bohaterów. Ale, jak w moich powieściach, jedynym celem, trochę tu celebry z mojej strony, staje się dawanie świadectwa. I, żeby nie było wątpliwości, znacznie wyżej cenię *Dyfuzję* i *Zazwyczaj śnimy w samotności*, choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że nośność tych sztuk jest nieporównywalna.

**Żaneta Nalewajk:** Mówi Pan, że nie należy do zwolenników dzielenia włosa na czworo, tj.: „nadmiernego tłumaczenia i rozgryzania każdego zdania”, ale kiedy już musi Pan to robić, wychodzi to Panu całkiem nieźle. To pewnie niemądre przekomarzać się z dramaturgiem o interpretację jego własnej sztuki, ale analogia pomiędzy naiwną Panią psycholog, a Jadźką nie wydaje mi się do końca trafna, choćby z tego powodu, że życiorysy tych dwóch kobiet nie są jednak porównywalne - ta pierwsza nie została naznaczona tak drastycznie stygmatem patologicznego środowiska, jak młodociana prostytutka. Dziedziczenie rozumiem w tym przypadku znacznie szerzej, tzn. nie tylko jako schedę po rodzicach, ale pewne reguły postępowania przejmowane przez człowieka, które oddziałują na tyle silnie, że zaczynają kształtować pojęcie normy, wyznaczać sferę zachowań uznawanych za „naturalne”. W przypadku opisywanej w *Znieczulonych* rodziny, trudno mówić o jakichś pozytywnych kontrwzorcach, (a z takimi pani psycholog zapewne miała kontakt), charakterystyczne jest natomiast to, że synonimem egzystencji wśród najbliższych ludzi staje się walka o przetrwanie.

Nie potrafię w tej chwili odpowiedzialnie odnieść się do Pana uwagi o bezinteresowności zła. To na pewno kwestia warta namysłu. Trzeba by ją pewnie skonfrontować z pytaniem: czy człowiek czyniąc zło nie próbuje

zaspokajać, przynajmniej doraźnie, własnych perwersyjnych potrzeb emocjonalnych? Wspominał Pan też o seksualności jako źródle tkwiącego w człowieku okrucieństwa, będącej także siłą napędową zmian, rewolucji, wynalazków. Jak w takim razie utrzyma Pan pogląd, zgodnie z którym zło przychodzi z zewnątrz? Doprowadzając tę tezę do skrajności, można by mówić, o winie obiektu pożądania, która sprowadzałaby się do tego, że pojawił się on na horyzoncie, znalazł się w polu widzenia kogoś, kto pragnie, kogo owładnęła żądza. A może przeciwstawienie zewnętrzne-wewnętrzne jest bez sensu?

**Wacław Holewiński:** Najpierw powrót do tego, co już tłumaczone. Oczywiście porównywanie w *Znieczulonych* Jadźki i Pani psycholog nie miało na celu stawiania znaku równości. To tylko bodziec do poszukiwań, jakieś światło, półcień. Bo patologia nie rodzi się tylko tam, gdzie najgorsze wzorce. Dom dziecka, przez chwilę zdarzyło mi się coś takiego widzieć (zabierałem i odwoziłem chłopca z takiego domu na imieniny mojego syna), to nie jest oaza szczęśliwości, a gdyby posłuchała Pani takiego dziecka, miałaby Pani zapewne świadomość, że trzeba mocnego charakteru, aby i z tego wyjść.

Co to jest perwersyjna potrzeba emocjonalna? Czy tylko postawienie na zaspokojenie swoich potrzeb bez oglądania się na zewnątrz? Gdyby tak było, to nas by nie było. Ludzie są perwersyjni od zarania dziejów, ale jednak realizują te perwersje w społecznym kontekście, uzupełniają się, zaspakajają je najczęściej bez czynienia zła drugiej osobie. A więc uzyskują jej aprobatę? Niekoniecznie. Być może jest tak, że tu właśnie rozpościera się najszersze pole tzw. kompromisu?

I jeszcze słowo o Pani przejaskrawionej, skrajnej tezie o winie obiektu pożądania. Chyba musiałem źle tłumaczyć. Chciałem powiedzieć, że seksualność, a może szerzej, cielesność, jest takim obszarem naszego życia, taką zagadką, w której „dzieje się” więcej, niż tłumaczą nam wszelkie naukowe dociekania. To obszar życia dla mnie porównywalny ze złem „czystym” (a więc będącym w nas od zarania) - nie dlatego, abym stawiał je na równi, wręcz

odwrotnie, to dla mnie obszar najbardziej twórczy, wyzwalający (gdybyż można było życie ograniczyć tylko do niego) - ale jego siła oddziaływania może być równie zębna. Okrucieństwo zresztą, jakże często, powoduje emocję seksualną.

**Żaneta Nalewajk:** Powiedział Pan, że *Dyfuzję* i *Zazwyczaj śnimy samotności* ceni Pan wyżej niż *Znieczulonych*. Dlaczego?

**Wacław Holewiński:** Dlatego, że rzeczywistość opisana w *Znieczulonych* to wbrew pozorom nie jest mój świat, w przeciwieństwie do np. strindbergowskiej *Dyfuzji*. Tak by to właśnie wyglądało w mojej prywatnej klasyfikacji, ale nie odbieram innym, rzecz jasna, prawa do oceny. Dla mnie kluczowymi problemami we wszystkich książkach są kwestie samotności, porażki, samoistnego zła. W *Znieczulonych* istotnymi zagadnieniami wydają się być właśnie m.in. sprawy samotności, gry, manipulacji ludźmi. Pamiętam taką sytuację: aresztowano młodego chłopaka, przywieziono go do prokuratury i zorganizowano przesłuchanie, w którym nie uczestniczyłem, ale ze względu na warunki lokalowe byłem jego świadkiem. Wystarczyło posłuchać języka, jakim mówił aresztowany, a potem pstryknąć i podpowiedzieć mu po cichu dwa słowa, które mogły całkowicie zmienić kwalifikację czynu. Wtedy musieliby go wypuścić. I w gruncie rzeczy ode mnie zależało, czy mu te dwa słowa szepnę, czy nie. Niechętnie też odpowiedziałbym na pytanie, co zrobiłem. Miałem jeszcze inną przygodę. Kiedy robiłem aplikację wysłano mnie, w zastępstwie prokuratora, do więzienia na Służewcu, ponieważ jakiś kryminalista napisał zażalenie na wywiad środowiskowy. Dzielnicowy wystawił temu człowiekowi opinię, z której wynikało, że to degenerat pijący denaturat. Pojechałem i zapytałem go: „proszę pana na co pan się skarży?” „Na to, że dzielnicowy napisał, że piję denaturat.” – odpowiedział. „A nie pije pan?”- spytałem i usłyszałem po chwili: „No, piję, ale skąd on o tym może wiedzieć.” Rzeczywistość, z jaką się wówczas zetknąłem przypominała świat kompletnego absurdu, zupełnie nieprzystający do realiów, w których na co dzień żyłem. Jeszcze raz podkreślam, musiałem napisać *Znieczulonych*, ale to nie jest moja

rzeczywistość. Dlatego bardziej cenię *Dyfuzję* i *Zazwyczaj śnimy w samotności* niż tę sztukę, choć łatwiej ją będzie wystawić, bo wzbudza silne emocje. Uważam jednak, że tamte dramaty są dużo lepsze, także ze względu na ich zawartość intelektualną. Tam można odnaleźć to, co mnie najbardziej dotyka. Proszę sobie wyobrazić, że jest Pani w gronie ludzi, którzy są dobrze do Pani nastawieni, czasami nawet Panią kochają, a mimo to czuje się Pani samotna, bardzo samotna. Człowiek jest zawsze samotny.

**Krzysztofa Krowiranda:** Bohaterowie Pana dramatów często są cyniczni, często o cynizmie mówią, a przynajmniej starają się być cyniczni, zależy im na tym, żeby byli odbierani jako cynicy. Czy to również, zgodnie z tym co powiedział Pan chwilę temu, można uznać za literackie przeniesienie Pańskich doświadczeń, Pańskiego światopoglądu?

**Wacław Holewiński:** Uważa Pani, że jestem cyniczny? Pokazałem to w tej rozmowie?

**Krzysztofa Krowiranda:** Myślę że tak.

**Żaneta Nalewajk:** Bywa Pan cyniczny, zwłaszcza wtedy, kiedy mówi Pan o kobietach.

**Wacław Holewiński:** Generalnie uważam że stosunki międzyludzkie są cyniczne, często opierają się na korzyściach. Kiedy na „Biesiadzie Literackiej” Dorota Ćirlić zadała mi pytanie o słowa, które są dla mnie ważne, to jednego ważnego słowa nie wymieniłem – przyjaźni. Kategorii dla mnie niezwykle ważnej. Ale przyjaźń to dla mnie właśnie emocjonalny stosunek między ludźmi, który nie daje się sprowadzić do żadnych korzyści, poza intelektualnymi oczywiście.

**Krzysztofa Krowiranda:** Nie widzi Pan w przyjaźni korzyści emocjonalnych?

**Wacław Holewiński:** Mówi Pani o wykorzystywaniu emocjonalnym?

**Krzysztofa Krowiranda:** Nie, mówię o korzyściach emocjonalnych, o tym, że czuje się Pan w czymś towarzystwie bezpiecznie, dobrze...

**Żaneta Nalewajk:** Że ktoś Pana wspiera – to są wszystko korzyści emocjonalne.

**Wacław Holewiński:** Ale tu wkraczają Panie w kategorię szerszą niż przyjaźń. Nie chciałbym tego cynizmu wartościować, bo są takie momenty w życiu, w których cynizm dodaje siły.

**Krzysztofa Krowiranda:** Cynizm ewidentnie pełni rolę ochronną w pewnych sytuacjach, pozwala nabrać dystansu, mniej przeżywać.

**Wacław Holewiński:** Tak, generalnie tak. Jakkolwiek, gdyby to odnieść do stosunków damsko-męskich, to chyba najbardziej w *Zazwyczaj śnimy w samotności* staje się to widoczne. Pewnie bywam cyniczny jak każdy. A postaci moich powieści i dramatów? Może trochę częściej niż ja? Zwłaszcza bohater *Za późno na modlitwę*. Chyba nawet potrafię dokładnie przytoczyć jego słowa: „jeżeli kobieta bardzo chce usłyszeć słowo Kocham, to dla spokoju sumienia należy je wreszcie powiedzieć”. Tylko co to ma wspólnego z prawdziwymi uczuciami?

**Żaneta Nalewajk:** A nigdy nie ma?

**Wacław Holewiński:** Myślę, że zazwyczaj często ma, tylko problem polega na tym, że bycie z drugą osobą nie warunkuje tego uczucia i to już nie jest cynizm. Ja w swoim życiu znam jeden taki przypadek – parę z długoletnim stażem absolutnie zapatrzoną w siebie nawzajem i gotową wszystko dla siebie poświęcić. Widziałem jakim dodatkiem do małżeństwa była ich córka. To się niezwykle rzadko zdarza. Zazwyczaj ludzie zakochują się w sobie, potem im przechodzi, co wcale przecież nie oznacza, że muszą się rozstać. Wówczas pozostają inne wartości, równie ważne. To bardzo cyniczna odpowiedź.

**Krzysztofa Krowiranda:** Konstrukcja Pańskich powieści często jest fragmentaryczna, epizodyczna, mozaikowa. Tym, co scala ich kompozycję wydaje się postać głównego bohatera, dokładniej – matryca jego biografii, która pozwala czytelnikowi na rekonstrukcję fabuły, mimo braku chronologii przedstawionych zdarzeń. Dlaczego tak się dzieje? Jaka jest motywacja użycia

takiego chwytu? Czy Pańskim zdaniem schemat narracyjny biografii jest jedną z najtrwalszych matryc, dzięki którym można nie tylko scalić chaos jednostkowego życia, zanurzonego w historii, ale też ukazać proces formowania tożsamości?

**Wacław Holewiński:** Po pierwsze ten schemat fragmentaryczności, rozrzucenia, przypominania, oddalenia to nie jest zasada. W *Twe oczy umarłą postrzegą* zachowałem przecież chronologię. Ale generalnie mam poczucie, że życie jest utkane ze wspomnienia. Nasza pamięć jakoś nas ogranicza, stąd na przykład, wielość relacji w *Przeżyłem wszystkich poetów*, stąd podwójny, a nawet potrójny ogląd tego samego w *Za późno na modlitwę*. Pewnie ma Pani rację, że te matryce, utrwalane w nas, w naszych bohaterach, budujące te postaci, pozwalają nam scalić jakoś życie, trochę je uporządkować. Ale myślę, że to nie wyczerpuje mojego pomysłu. Dużo mówiłem o samotności, kategorii dla mnie absolutnie podstawowej. Mam wrażenie, że „tkamy się” poprzez „przeżyte”, poprzez to, co za nami. Utrwalenie tego w nas samych, zasklepienie, ukorzenie, „stwarza” naszą tożsamość, naszą współczesność. Gdyby nie nasza pamięć, a więc rozrzucona fragmentaryczność, co by z nas zostało? Przejście od „było” do „jest” jest budowaniem. Inaczej budziłibyśmy się w świecie potwornie nudnym. Tak nudnym, że mierzenie się z nim, przynajmniej dla mnie, byłoby kompletnym absurdem. Choć i w tym często, zbyt często, mam poczucie nie tylko kompletnego fiaska, ale co więcej kompletnego zagubienia. Ale może to właśnie jest ciekawe? A historia tylko utrwała we mnie przeświadczenie, że wielkie zdarzenia są odbiciem jednostkowego przeżycia, że tylko poprzez nie (to przeżycie, zdarzenie, fakt) warto ją oglądać. Wszelkie syntezy są przekleństwem dla prozaika. Ktoś kto chce je zmieścić w tej formie, minął się z powołaniem.

**Żaneta Nalewajk:** Wrócę jeszcze do *Za późno na modlitwę*, którą uważam za najbardziej autobiograficzną z Pana powieści.



**Wacław Holewiński:** Tak jest bez wątpienia, chociaż oczywiście pojawia się tam bardzo wiele wątków, które nie mają nic wspólnego z moim życiem, są całkowitym zmyśleniem.

**Żaneta Nalewajk:** Pomówmy zatem jeszcze o problemie zła w *Za późno na modlitwę*. W życiu Pańskiego bohatera kantowskie pojęcie *personalitas moralis*, jeśli nie zdezaktualizowało się zupełnie, to jego granice się zupełnie rozmyły. Zacznijmy więc od definicji, sprawdźmy, czy rozumiemy przez ten termin to samo. Zdaniem Kanta, zło absolutne, czynione dla niego samego, leży poza granicami ludzkich możliwości. Człowiek nie jest do niego zdolny, dlatego określa się je mianem zła diabelskiego. Nie można go uznać za charakterystyczne dla człowieka, ponieważ pewność moralna tego ostatniego, pozwala mu przewyciężyć naturalne skłonności, które niekoniecznie muszą być dobre. Człowiek zatem pozostaje istotą rozumną, przed którą rozciąga się przestrzeń wyboru, a więc wolności. Chciałam zapytać, jak to jest według Pana z tą wolnością? Czy potrafiłby Pan wskazać takie sytuacje, w których, wbrew Kantowi, zło można utożsamić z koniecznością?

**Wacław Holewiński:** To bardzo trudna kategoria. Bo na przykład, kiedy zapyta Pani ludzi o różnym doświadczeniu życiowym o problem możliwości bądź niemożliwości wydawania wyroków śmierci, odpowiedzi będą rozmaite, skrajnie różne, co więcej wcale nie muszą wynikać ani z wychowania, ani z pozycji społecznej, ani z poczucia jednostkowego zagrożenia. Jeśli oprzemy się o dogmaty katolickie, to karę śmierci musimy uznać za zło. Ja należę, żeby nie było nieporozumień, do jej zwolenników. Niestety, potrafimy racjonalizować zło. Ale czy umiemy je wartościować? Jestem osobą niewierzącą, ale przez całe swoje dojrzałe życie emocjonalne bardzo wspierałem kościół, ponieważ widziałem jego ogromne zasługi dla tego kraju, nie godząc się przy tym z wieloma dogmatami. Miałem zresztą trudne emocjonalnie doświadczenia z kościołem. W roku najpewniej 1979, w kościele św. Krzyża, odbył się słynny KOR-owski strajk w obronie uwięzionych w Czechosłowacji członków Karty

77. Byłem w grupie osób wpierających ten protest. Na koniec odprawiono mszę, podczas której stałem w kościele, ale nie potrafiłem się modlić. Widziałem, czułem wzrok jakim na mnie patrzono. Spojrzenia, jakimi mnie obrzucano, niekoniecznie musiały być tożsame z tymi, które były przeznaczone dla przedstawicieli Służby Bezpieczeństwa, których pełno tam wtedy było, ale niemodlących się odpychano równie silnie. Czułem wewnętrznie bardzo mocne odrzucenie, nieakceptację. Proszę zobaczyć, jak silna musiała być to trauma, skoro noszę w sobie to wspomnienie przez dwadzieścia sześć lat. Wróćmy jednak do kategorii zła. Mnie, niestety, jest dość trudno identyfikować się z poglądami Kanta. Jeżeli nie wierzy się w zbawienie, odkupienie po śmierci, to nie jest się też w stanie przyjąć istnienia zła szatańskiego. Najczęściej racjonalizuję zło, choć nie zawsze okazuje się to możliwe. Jeśli pominąć hipnotyczne zdolności Hitlera, trudno jednak zaakceptować obozy koncentracyjne oraz to, że ktoś rzucił puszkę cyklonu B przez otwór, wiedząc, że kilkaset osób, za chwilę się udusi.

**Żaneta Nalewajk:** Trudno też zaakceptować społeczne poparcie dla tego rodzaju ideologii.

**Wacław Holewiński:** Z ideologiami to jest jeszcze inna sprawa. Ideologie w warstwie werbalnej funkcjonowały od zawsze, problem stanowił raczej sposób ich urzeczywistnienia, realizacji. Faszyzm włoski był jednak czymś odmiennym niż faszyzm niemiecki, a komunizm sowiecki czy komunizm Pol Pota w Kambodży, gdzie w imię ideologii można było zamordować 2/3 społeczeństwa, ot tak, dla zasady, były jednak czym innym niż eurokomunizm włoski czy hiszpański. Często budzę się z poczuciem, że zło w czystej postaci, zło dla zła, jest obecne w naszym życiu. Operowanie kategoriami rozumu, musi prowadzić do takich konkluzji. Na pewno ktoś, kto potrafi uwierzyć w Boga będzie interpretował to inaczej.

**Żaneta Nalewajk:** No tak, a gdzie tutaj jest miejsce na przestrzeń wyboru? Czy można utożsamić zło z koniecznością? Potrafi Pan sobie wyobrazić taki przypadek?

**Wacław Holewiński:** Szukam przykładu. Przez pewien czas istniało domniemanie, zweryfikowane później negatywnie, że jedna z najważniejszych postaci w tym kraju, mianowicie premier z poprzedniej ekipy, był donosicielem, że pisał raporty dla Służby Bezpieczeństwa. Ale też od początku mówiono dlaczego tak się stało. Później, na szczęście, podejrzania okazały się wymysłem. Gdyby jednak nawet pogłoski były prawdziwe, nie mógłbym go potępić. Jeżeli od tego, czy zdecydujesz się na współpracę, zależy życie i zdrowie Twojego dziecka, bo inaczej nie trafi ono na konieczne leczenie do innego kraju i poniesie nieodwracalne konsekwencje, to nie masz wyboru. W każdym razie bardzo ograniczony wybór. Odwołuję się tu do ekstremalnych sytuacji. Kiedyś byłem bardzo rygorystyczny w swoich poglądach. Z wiekiem, pewnie jak większość ludzi, łagodnieję i coraz bardziej ważę słowa. Przypomniał mi się jeszcze jeden przypadek. Miałem kumpla w szkole średniej, później razem zdaliśmy na prawo, a następnie pracowaliśmy w Komisji Krajowej NZS-u. W połowie roku '81 siedzieliśmy na tarasie w knajpie, w gronie ludzi, którzy ostro działali w opozycji przed 1980 rokiem i gadaliśmy sobie na ten temat. Paweł S. (nie chcę ujawniać jego nazwiska), w którymś momencie przyznał, że strasznie nam zazdrości tych doświadczeń. Później nawet drukowaliśmy razem jakieś rzeczy. Kiedy zamknięto mnie w więzieniu, dostałem od niego nieoficjalny list, podany przez księdza. Opisał mi swoją sytuację. Po 13 grudnia krążyły takie fałszywki, które były rzekomo wierszami Miłosza, bardzo patriotycznymi, powielanymi i rozprowadzanymi dla podniesienia na duchu. Tego chłopaka, z takim właśnie wierszem złapano. Miał stempel, że pracuje w Komisji Krajowej. Postawiono mu ultimatum: „albo zaraz robimy procesik, albo podpisuje pan dokument współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa”. Podpisał. I tu jest właśnie miejsce na przestrzeń wyboru. Kiedy go zwolnili, poszedł do adwokata, wysłał

list do Kiszczaka, spotkał się ze znajomymi i zabronił ze sobą kontaktować. Jeśli to, co mi napisał jest prawdą, nikt nie ma prawa go osądzać, choć znalazł się na liście Wildsteina. Są takie sytuacje, kiedy nie wolno nam potępiać ludzi za popełnione błędy, nawet najstraszniejsze. Czytałem, zbierając materiały do *Lamentu nad Babilonem*, akta ludzi z NSZ-u, oraz z Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. To były dokumenty osób pojmanych i połamanych przez Urząd Bezpieczeństwa albo NKWD. Katowanych, maltretowanych, szantażowanych – dziś nie miałbym śmiałości osądzać tych ludzi.

**Krzysztofa Krowiranda:** To problem oceny moralnej. Bo czy na przykład, z dzisiejszej perspektywy, mamy prawo do oceny zachowań więźniów w obozach koncentracyjnych, czy mamy prawo mierzyć ich własną miarą?

**Żaneta Nalewajk:** Przypomniało mi się słynne pytanie Borowskiego, adresowane między innymi do Kossak-Szczuckiej: jak to się stało, że pan/pani przeżył/a?

**Wacław Holewiński:** Kossak-Szczucka, która przed wojną była antysemitką, w czasie wojny pięknie zachowywała się wobec żydowskich dzieci. Moja babka, która zginęła w Brzezince, też pomagała Żydom. Ale wracając do zła, to są przypadki, które mnie zupełnie nie wzruszają. Nie znajduję usprawiedliwienia dla kogoś, kto czyni zło z powodu biedy. Nawet wtedy nie ma prawa kraść. Może myślę tak dlatego, że potrafię ograniczyć swoje potrzeby i oczekiwania życiowe do absolutnego minimum. Na szczęście żyjemy w takich warunkach, które nie zmuszają nas do dokonywania najstraszniejszych wyborów. Bohaterowie *Znieczulonych* czynią zło, w sensie najbardziej ludzkim. Inna rzecz, że pisanie jest jednak kreowaniem pewnych światów, niekoniecznie przecież prawdziwych. Ja mam bardzo silne emocjonalne i moralne hamulce. Potrafię o czymś opowiedzieć, ale nie mogę zrobić tego, o czym napisałem.

**Żaneta Nalewajk:** Jeden z fragmentów *Ulissesa* Joyce'a diagnozuje rozpad spójnego obrazu rzeczywistości za pośrednictwem metafory określającej świat, jako „rozbite lustro służące”. Skojarzenie Pańskiej techniki narracyjnej ze

stłuczonym zwierciadłem nasunęło mi się, kiedy czytałam *Za późno na modlitwę*, nie opuszczało mnie, gdy recenzowałam tę książkę, zaś potwierdziło się podczas lektury *Przeżyłem wszystkich poetów*. We wspomnianej, świetnej zresztą, powieści nawarstwiają się perspektywy, które niczym puzzle powinny złożyć się na portret bohatera. Jednak wielość punktów widzenia w konsekwencji relatywizuje wizerunek postaci, zamiast spójnej, całościowej konstrukcji, czytelnik otrzymuje odpryski wspomnień i niejednokrotnie sprzecznych opisów, niemożliwych do uzgodnienia opinii. W ten sposób obraz Ksawerego Lentza zamazuje się, rozwarstwia, staje się wieloaspektowy, niepokojąco niejednoznaczny. Pańskie eksperymenty w warstwie narracyjnej są znakiem sytuacji, w której rekonstrukcja źródłowego sensu zdarzeń zaczyna jawić się jako dążenie skazane na klęskę. Diagnozuje Pan tym samym, pośrednio, nękający współczesną humanistykę „kryzys poczucia rzeczywistości”, kryzys rozumiany jako niemoc stworzenia jej adekwatnej reprezentacji, tak w sensie aksjologicznym, jak i epistemologicznym. Zarazem jednak poszerza Pan realistyczną konwencję przedstawiania, problematyzując ją, ukazuje Pan wybiórczość, częściowość, selektywność treści poznawczych, przekazywanych z jednego, nadrzędnego punktu widzenia. Czy mógłby Pan przystać na określenie Pańskich powieści współczesnych (*Za późno na modlitwę*, *Przeżyłem wszystkich poetów*, *Ananke*) mianem swoiście rozumianego „neorealizmu”?

**Wacław Holewiński:** Niech mi Pani nie każe odnosić się do tekstów z *Ulissesa* czytanych przeze mnie prawie trzydzieści lat temu. I to nie chodzi nawet o to, że niewiele pamiętam - dziś byłby to dla mnie inny tekst. A już wpisywanie mnie w kryzysy nękające współczesną humanistykę, „kryzys poczucia rzeczywistości”, aksjologia, epistemologia... To są sprawy drugorzędne. Pisze się nie dlatego, w każdym razie ktoś, kto ma pewien pomysł na pisanie, aby się w cokolwiek wpisywać. Bohaterowie wszystkich moich powieści (a i sztuk), nawet tych historycznych (może z wyjątkiem *Twe oczy umarłą postrzegą*), to

przecież wciąż ten sam, bliski mi człowiek (w dużej mierze ja sam), w każdym razie w sposobie wyrażania emocji, w języku, w seksualnych spotkaniach i marzeniach (to całkiem serio i bez śmiechu!), w więzach, które buduje i, pozornie bez sensu, burzy mój bohater. Nie bez powodu mówiłem o terapii. Świat, który próbuję przedstawić, jeszcze raz podkreślę, mój świat, nie jest światem idealnym. Raczej odwrotnie, jest to świat zdominowany przez samotność, przez konieczność stałych wyborów - nie między dobrem, a złem, często między złem, a złem. Świat, w którym relacje między ludźmi są gruchotane przez wpisaną w nie historię, ingerującą, wbrew pozorom, w nasze życie dosyć często. Mój świat nierzadko jest światem irracjonalnym. Dziękuję Pani za określenie *Przeżyłem wszystkich poetów* mianem świetnej powieści, ale... Wybór interpretacyjny od zawsze oddany był czytelnikom (to nie jest ucieczka ani wybieg z mojej strony). Jego odczytanie (bohatera) wymaga zanurzenia się czytelnika w epokę albo w emocje. Podstawowe pytanie, czy tak mogło być? A jeśli mogło? A teraz „rozbite lustro...”. Nie ma Pani wrażenia, że każdy z Pani znajomych, to oczywiście banał, gdyby chciał opowiadać o Pani, skonstruuje Panią inaczej? Moi bohaterowie, w sposób oczywisty, skazani są na klęskę. Zawsze. Nawet w chwili kiedy odnoszą sukcesy, tuż za rogiem czeka już na nich porażka. Swoją drogą, to ciekawe, że nikt dotychczas tak nie odczytał moich książek, a dla mnie to absolutnie oczywiste. Synonimem życia nie jest więc budowanie sukcesu ale raczej, jak u Camusa, ciągłe zmaganie się z klęską.

Więc ci moi bohaterowie... Nie ma w nich ani zła, ani dobra - każde inne przedstawienie człowieka jest z gruntu zafałszowane, obarczone moją nieufnością i lekceważącym machnięciem ręką. Określenie moich powieści jako „neorealistycznych” - toż to worek bez dna. Żeby zgodzić się na takie przyporządkowanie musiałbym wiedzieć gdzie mnie Pani sytuuje, między czym, a czym, między kim, a kim. Może to moja „wolna natura” tak ucieka od etykiet?

**Krzysztofa Krowiranda:** Można na przykład dostrzec pokrewieństwa pomiędzy Pana prozą a twórczością Jerzego Andrzejewskiego i Marka Nowakowskiego.

**Wacław Holewiński:** Marka Nowakowskiego cenię za *Benka kwiaciarza*, *Wesele raz jeszcze*, *Księżca nocy*. To naprawdę fantastyczne książki. Moim wielkim uznaniem cieszy się również proza Jerzego Andrzejewskiego. Bardzo pochwlebia mi propozycja wpisania moich tekstów w tę przestrzeń, jakkolwiek sądzę, że daleko im jeszcze do osiągnięć wspomnianych twórców.

**Krzysztofa Krowiranda:** Pańska proza zestawiana jest również z tekstami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego oraz pisarstwem Szalamowa.

**Żaneta Nalewajk:** A Pana powieści historyczne porównywane były z dziełami Józefa Mackiewicza.

**Wacław Holewiński:** Te porównania są bardzo nobilitujące, ale to nie ja byłem ich pomysłodawcą.

**Żaneta Nalewajk:** Wspomniał Pan, że ceni twórczość Jerzego Andrzejewskiego. A *Popiół i diament* jego najbardziej kontrowersyjną powieść, eufemistycznie rzecz ujmując, również?

**Wacław Holewiński:** Znałem Andrzejewskiego i wiem, że bardzo się tej książki wstydził, co oczywiście nie zmienia faktu, iż do końca życia czerpał korzyści finansowe z kolejnych wydań powieści. Ale gdyby przypatrzeć się jak ta książka jest napisana, ferowanie wyroków byłoby dosyć trudne. Oczywiście to bardzo fałszywa powieść.

**Krzysztofa Krowiranda:** Gustaw Herling-Grudziński, którego tak Pan ceni, nie darzył Andrzejewskiego sympatią.

**Wacław Holewiński:** Sądzę, że miało to związek głównie z postawą autora *Ładu serca*.

**Krzysztofa Krowiranda:** Jakie teksty Andrzejewskiego budzą Pana uznanie?

**Wacław Holewiński:** *Trzy opowieści* oczywiście, tj. *Idzie skacząc po górach*, *Ciemności kryją ziemię* i *Bramy rajy* to w moim odczuciu jego najlepsze

książki. Również przedwojenne opowiadania wydają mi się bardzo ciekawe zarówno konstrukcyjnie, jak i myślowo.

**Żaneta Nalewajk:** *A Miazga?*

**Wacław Holewiński:** Z *Miazgą* jest pewien problem. Można powiedzieć, że ta powieść zestarzała się niemal całkowicie. Już dla ludzi mojego pokolenia jej odczytanie stanowiło pewien kłopot. Rozpoznanie w postaciach tej książki ich pierwowzorów, np. sekretarzy KC z okresu popaździernikowego, dla kogoś kto niespecjalnie interesował się historią, rozsadami na górze, tymi absurdalnymi, nierzeczywistymi sporami liberałów z betonem, mogło okazać się niemożliwe. Trzeba pamiętać, ile lat *Miazga* czekała na wydanie. Gdyby książka ukazała się natychmiast po napisaniu, jej odbiór okazałby się zapewne zupełnie inny. Andrzejewski był człowiekiem niesłychanie naiwnym. Bardzo go zwodzono w związku z tą publikacją. Powiem prawdę, że *Miazga* jest dla mnie powieścią moralnie dwuznaczną i podobnie jak *Apelacja* nie należy do moich ulubionych lektur. Bliżej mi do *Brzeziny* Iwaszkiewicza niż *Miazgi* Andrzejewskiego, jakkolwiek, jeszcze raz podkreślam, bardzo cenię tego pisarza. Poza tym miałem szczęście uczestniczenia w znakomitym seminarium Tomka Burka, które w całości poświęcone było twórczości Andrzejewskiego.

**Krzysztofa Krowiranda:** Wróćmy do Pańskiego pisarstwa – powtarzają się w nim często te same wątki, tematy, problemy, często nawet frazy, zdania, sformułowania, imiona („wybuchła Polska”, „tanie wino śmierdzące gównem i siarką”, „nigdy nie dostaniesz pracy w PRL”, imiona bohaterów: Kuba, Marika, Maks). Jak to interpretować? Trauma, silne przeżycie, zwykle przywiązanie, zakres zainteresowań, czy nieświadome procesy językowe?

**Wacław Holewiński:** Określenie wina ma związek z moimi doświadczeniami. Imię Kuba po prostu mi się podoba i chyba miałem je nosić. Powtarzalność, jeżeli istnieje, zapewne wynika z mojej niepamięci. Jeżeli pojawia się takie określenie jak „wybuchła Polska” to jest to z całą pewnością kontynuacja tego, o czym mówiłem w innym wywiadzie w odniesieniu do powstania stycziowego.



Jestem absolutnym fanem II RP, mam poczucie, że to państwo rodzące się w ogromnych bólach dokonało niezwykle dużo, być może potrafiło też wykształcić specyficzny gatunek obywatela, zwłaszcza w sensie intelektualnym i gospodarczym. Pobudziło szaloną aktywność ludzi, o czym, wbrew pozorom, zupełnie nie można mówić po roku 1989. Sformułowanie „wybuchła Polska” nie jest moim wynalazkiem, funkcjonowało zapewne już wcześniej, nie wiem dokładnie gdzie, ale musiało mi się tak spodobać, że zapadło głęboko w pamięć i używam go często.

**Żaneta Nalewajk:** Pana przyjaciel, językoznawca, prof. Dąbkowski, podczas promocji *Choćbym mówił językiem ludzi i aniołów*, zaprezentował analizę statystyczną wyrazów, które najczęściej występują w Pańskich powieściach. Zaskakująco często powraca (charakterystyczne dla opozycjonisty!) słówko „nie” i, co ciekawe, prawie nie używa Pan przymiotników.

**Wacław Holewiński:** Dąbkowski naliczył też w książce, którą omawiał 1200 postaci. Zupełnie nieprawdopodobne! Zastanawiałem się później nad tym i doszedłem do wniosku, że to jest mój sposób budowania powieści - splatanie różnych losów i pokazywanie na ich tle rozmaitych sytuacji. Im tych pierwszych więcej, tym ten obraz staje się bardziej szczegółowy.

**Żaneta Nalewajk:** I jeszcze małe pytanko o dystans narracyjny do prezentowanych zdarzeń. W Pana książkach rysuje się pewna prawidłowość. Im bliżej współczesności, tym on większy (*casus: Za późno na modlitwę, Przeżyłem wszystkich poetów*, a także *Ananke*, gdzie narratorem jest obcokrajowiec). Natomiast, im bardziej zanurza się Pan w przeszłość, tym chętniej wybiera Pan klasyczne sposoby opowiadania (przykładem może być choćby powieść o Jordaensie – *Twe oczy umarłą postrzegą*). Ta prawidłowość z pewnością nie jest przypadkiem. Czy w odniesieniu do Pańskich powieści współczesnych, ma ona jakiś związek z terapeutyczną funkcją literatury? A może wynika z czegoś zupełnie innego?

**Wacław HOLEWIŃSKI:** Dystans narracyjny... Klasyczny sposób opowiadania w książkach odległych czasowo... *A Nie tknął mnie nikt?* Zanurzanie się w sobie, warstwa po warstwie, odkrywanie tego, co zapomniane? Jeśli tak Pani to widzi... Nie wiem... Może? Terapeutyczna funkcja literatury... Kompletnie nieporozumienie! To dla mnie, moje pisanie, jest terapią. To ono leczy moją głowę, to świat stwarzany (nawet jeśli jest prostym przeniesieniem czegoś, co się zdarzyło w moim życiu), pozwala mi wyjść z opresji, z których trudno byłoby wydostać się w inny sposób (co oczywiście nie oznacza, że nie ma innych sposobów, pewnie każdy buduje własne).

**Żaneta Nalewajk:** Nieporozumienie? Przecież sam Pan stwierdził w innym wywiadzie, że pisanie jest dla Pana formą terapii. A skoro tak, to niech Pan nie zapomina, że pisze Pan literaturę, która w Pana przypadku spełnia funkcję terapeutyczną. Stąd moja uwaga o większym narracyjnym dystansie do przedstawianych zdarzeń w powieściach współczesnych. To trochę tak, jakby za pośrednictwem formy opowiadania oddalał się Pan od tego, czego w pełni nie może Pan uznać za własne, co dla Pana najbardziej dotkliwe. Zmieniając temat - chciałabym, żebyśmy porozmawiali przez chwilę o Krzysztofie Mętraku. We fragmencie swoich wspomnień *Z głowy* Janusz Głowacki, rozwodząc się nad mechanizmami autokreacji w tekstach autobiograficznych, napisał, że na skutek nagłej śmierci Krzysztofa Mętraka, jego zapiski przed wydaniem zostały zupełnie nietknięte, opublikowano je bez redaktorskiej obróbki. Konsekwencją tego, było oskarżenie Mętraka o antysemityzm. Czy jako przyjaciel Mętraka oraz edytor jego tekstów, mógłby Pan wyjaśnić tę dość enigmatyczną sprawę?

**Wacław HOLEWIŃSKI:** Po pierwsze, mówię to jako przyjaciel, nigdy nie przemknęła mi nawet przez głowę myśl o tym, że Mętrak mógł być antysemitą i z całą pewnością nim nie był. Po wtóre, jako edytor, odpowiadam, że stwierdzenie, iż *Dzienniki* Mętraka wyszły nietknięte jest kompletną bzdurą i nieporozumieniem. Włożyłem w nie mnóstwo pracy, często rekonstruowałem zdanie na podstawie trzech słów. Wracając jednak do rzekomego

antysemityzmu Mętraka, podkreślam jeszcze raz, że to absolutna nieprawda. Każdy czasem opowiada jakiś dowcip, czasem jakiegoś słucha. To może być dowcip o Żydach, Murzynach, homoseksualistach, blondynkach etc. i tylko jedna kategoria wywołuje dziki popłoch – antysemityzm. Po opublikowaniu *Dzienników*, anonimowy autor, choć ja wiem kto nim był, napisał w „Gazecie Wyborczej” bardzo ostry tekst, o tym, jakim antysemitą był Mętrak. Ja tego antysemityzmu z zapisków Mętraka nie wyczytałem. Później Janusz Głowacki, będąc przecież po lekturze książki, bardzo bronił, współ z innymi pisarzami, Mętraka na łamach tejże „Gazety”, zaprzeczał jego jakimkolwiek antysemickim skłonnościom. Powiedzenie komuś, że jest głupim chujem i Żydem, nie musi od razu świadczyć o antysemityzmie. Na tej zasadzie można by uznać Rafała Ziemkiewicza za antypolskiego publicystę. Bardzo chciałbym, żeby zapamiętano jakim człowiekiem był Mętrak: ciepłym, otwartym, bezinteresownie życzliwym, dowcipnym, o ogromnej wiedzy. Dzięki niemu zresztą poznałem niezwykłego już Lecha Budreckiego. Bardzo ważną dla mnie postać.

**Żaneta Nalewajk:** Skończył Pan właśnie pisać powieść – *Twe oczy umarłą postrzegą* traktującą o Jordaensie, siedemnastowiecznym malarzu flamandzkim. Wiem, że zachwyca Pana malarstwo. Czy mógłby Pan opowiedzieć o swojej fascynacji?

**Wacław Holewiński:** Jordeans to nie tylko malarstwo. Interesujące jest jego życie, pozostawanie w cieniu Rubensa, opozycja katolicyzm-kalwinizm, wyzwalenie Niderlandów spod berła hiszpańskich Habsburgów, tajemnica z zakupem obrazów przez kardynała di Verrua, pracownia i w niej relacje z innymi malarzami - paleta barw i odcieni człowieka... Mój zamysł, który jasno wychodzi ze wszystkich moich powieści, a został dookreślony w ostatnim rozdziale *Lamentu nad Babilonem* jest taki: „tak mogło być, choć z całą pewnością nie było”. Chcę żebyśmy się dobrze zrozumieli: mnie nie bawi tzw. historia alternatywna - tu chyba Dick był prekursorem, tak jak nie interesuje

mnie *science-fiction*. Bo tam, gdzie mogę, gdzie mam wiedzę, staram się precyzyjnie wpleść ją w narrację. Gdzie indziej buduję, dodaję, tworzę to, co jest sensem powieści - konstruuje postaci, a może szerzej świat wokół bohaterów. Jordaens nie był byle jakim człowiekiem, byle jakim malarzem. To chyba przypadek podobny do Salieriego. Gdyby nie Rubens, van Dyck i Rembrandt, z całą pewnością zostałby uznany za najwybitniejszego malarza epoki w tej części Europy. A proszę pamiętać, że w Niderlandach malowały wówczas tysiące (to nie jest żadna przesada) ludzi. Tyle o nim.

Malarstwo... To, co jest nam niedostępne... To jak muzyka... W Muzeum Narodowym w Pradze jest genialny niewielki obraz El Greco, mojego ukochanego malarza. Maleńka twarz Chrystusa. Możesz stać godzinami... Poświęciłem dwa tygodnie ostatnich wakacji tylko na gapienie się na obrazy w Wiedniu (tam w Kunsthistorisches Museum są m.in. płótna Jordaensa) wielkich, fantastycznych malarzy. I mam to szczęście, że w paru miejscach oprowadzał mnie, pokazywał, uczył malarstwa mój przyjaciel, wybitny poeta, Krzysztof Karasek. Jego z kolei uczyli, bo tego naprawdę trzeba się uczyć, Zbyszek Bieńkowski, którego i ja miałem szczęście znać, choć nie żyje już lat 11 i Zbigniew Herbert. Niezła sztafeta pokoleń. Krzysztof był wychowany w domu pełnym malarstwa – jego ojciec był malarzem. Ale w każdej encyklopedii znajdą też Panie Holewińskich malarzy (to oczywiście nic nie znaczy). Więc polega to na czuciu, na odnajdywaniu tego, co jest ci bliskie. Często może to być kolor, albo światło, albo koronka jak u Velasqueza, czy jakiś szczegół, jak u Teniersa. Barok, niestety, budował w malarstwie monumenty. Okropne... Gdyby je pociąć na kawałki, pewnie każdy byłby do oglądania... Ale miał też rzeczy fantastyczne. Idąc tym tropem - warto szukać swoich malarzy, wpatrywać się, podglądać. To jak z podglądaniem ładnych kobiet w fotoplastikonie, zwracasz uwagę na jakiś fragment, mężczyźni zresztą rzadko kiedy widzą całą kobietę. Ale barok, choć pozornie bogobojny, był też rozpasany, te nagie piersi (tu zresztą lepsze byłoby słowo cyce), uda, grubaśne tyłki, zarcie wylewające się ze

stołów. To przecież, jak na te zakłamanie czasy, pełna, cudowna pornografia. Zdarzyło mi się przez parę lat próbować malować. Ale to jak z wierszami, całe szczęście, że nie stało się to moim zawodem. Być gorszą wersją, naśladowcą, zresztą pewnie niezbyt udanym – to do dupy. Ale wiem jedno, malarstwo wciąga, jest jak narkotyk, nie pozwala się zostawić, nie pozwala być obojętnym, pożera czas lepiej niż jakakolwiek inna dziedzina. I jest zazdrosne. Pewnie niezbyt dobrze tłumaczę moją miłość do malarstwa.

**Żaneta Nalewajk:** Co planuje Pan po powieści o Jordaensie? Zwykle kończy Pan pracować nad jedną książką i zaczyna zajmować się następną, czy zdarza się Panu pisać kilka tekstów jednocześnie?

**Wacław Holewiński:** Ja wciąż mam dużo pomysłów. Na przykład chciałbym napisać powieść o Ignacym Korwin-Milewskim, zupełnie niezwyklej postaci, fantastycznym kolekcjonerze sztuki, szalonym kochanku, uwikłanym prawdopodobnie w zabójstwo, bogaczem, właścicielu wyspy na Morzu Śródziemnym i pewnie wariacie. A poza tym chciałbym popracować nad kolejną sztuką. Nie piszę nigdy dwu powieści jednocześnie. Natomiast pisuję w tym samym czasie i powieść, i dramat. I przerabiam to, co wydawało mi się już skończone.

**Krzysztofa Krowiranda:** Podejmując w swoim pisarstwie temat żołnierza związanego z podziemiem, nie tylko antykomunistycznym, ale i narodowym, temat „żołnierza wyklętego”, wkracza Pan w sferę tabu dzisiejszej historii literatury, w której brakuje miejsca dla rozliczeń z przeszłością, dla tej właśnie części historii najnowszej. Skąd zainteresowanie tą tematyką?

**Wacław Holewiński:** To raczej jak ze słynną zasadą: pisarz ma obowiązek stania po stronie słabszego. W tym wypadku zakłamanego, zaszczutego, oplutego, poniżonego. Pewnie należałoby użyć jeszcze stu przymiotników. „Kto ocala jedno życie...”, kto nie da zapomnieć... Ta nasza historia tkwi w nas jak cierni. Wydlubywanie go nie jest ani przyjemne, ani radosne. Ale warto się starać. Pamiętam, że w roku 68 lub 69 (miałem 12 lub 13 lat), na lekcji historii,

wstałem i opowiedziałem prawdę o Katyniu. Proszę pamiętać, że wtedy obowiązywała wersja, że to Niemcy dokonali tej zbrodni. Moi koledzy przeżyli szok, podobnie zresztą jak nauczycielka, która próbowała mi przerwać. Ale moi koledzy zapamiętali to i przypominają mi o tym do dzisiaj. Jak mawia profesor Bartoszewski, warto być przyzwoitym. Nawet jeśli przychodzi płacić za to wysoką cenę.